

STARSZA

Janusz Krawiec Wiśniewski



STARSZA

Skończyłem 27 lat i mimo, że wyglądałem jak licealista, coraz niecierpliwiej rozglądałem się za kandydatką na żonę. Finansowo byłem ustawiony dobrze. To znaczy dobrze, jak na tamte, komusze czasy. Był koniec lat sześćdziesiątych. U władzy jeszcze, jeszcze utrzymywał się Gomułka, ale już, już zbliżała się era Gierka i zapyziała, socjalistyczna Polska miała „rozkwitać” za pieniądze pożyczane z Zachodu. Miałem, jak na ówczesne czasy, intratny zawód. Byłem krawcem, czeladnikiem w dobrym zakładzie krawieckim. Wtedy krawcy zarabiali trzy razy tyle, a może i więcej, tyle co najlepsi na przykład stoczniowcy. Poza szyciem, handlowałem też przywożonymi przez marynarzy wszelkiego rodzaju towarami i materiałami. Biznes się kręcił. Naprawdę, finansowo stałem super! Wynajmowałem już nie jakiś tam pokój przy rodzinie - ale samodzielną kawalerkę w nowym budownictwie. Jadałem obiady w lepszych restauracjach i zawsze (to był mój konik) nosiłem się elegancko i piłem z umiarem. Myślę, że chyba byłem dobrym kandydatem na żonkosia – trzeba było mnie tylko usidlić. Nawet próbowało to zrobić kilka dziewcząt, ale... (umyślnie nie piszę kobiet, bo przez ten mój gówniarski wygląd miałem szansę najwyżej u licealistek).

W naszej pracowni zasuwalismy nie wyłączając sobót od rana do nocy. Jedynym wytchnieniem była mała przerwa na obiad. Zazwyczaj na posiłek chodziłem do pobliskiej restauracji „Myśliwska”, jednak w pewnym momencie musiałem zaprzestać stołowania się tam, ponieważ różnej maści pijackowie nieustannie nagabywali mnie na kielicha do śledzia lub golonki - a ja, przecież musiałem wracać do pracy, która absorbowwała mnie bez reszty i wymagała ode mnie pełnej koncentracji i precyzji, bywało, że zahaczającej o finezję. Rzeczywiście, wychodzące z naszej pracowni, a i spod mojej ręki garnitury czy płaszcze, były jednymi z lepiej uszytych w Trójmieście. Byłbym zbyt skromnym facetem i chyba nieszczerym, gdybym w tym miejscu nie wspomniał o tym, że byłem naprawdę uzdolnionym krawcem.

Tak więc, żeby nie mieć codziennie styczności z alkoholem, zmieniłem restaurację „Myśliwską” na bardziej ekskluzywną, no i droższą - „Polonię”, która mieściła się (i mieści się do dzisiaj) przy pryncypialnej ulicy Świętojańskiej. W Polonii bywał cały bogatszy gdyński high-life: właściciele komisów, kierownicy państwowych sklepów, prywatni kupcy i badylarze. Również nie brakowało tam rzemieślników, właścicieli zakładów samochodowych, złotników, kuśnierzy, krawców... Jednym słowem, wszelkiej maści „prywaciarzy, żerujących na klasie robotniczej”. W Polonii, kelnerzy od rana chodzili w smokingach i nie wpuszczano na swoje salony motłochu, chociaż i tutaj alkohol łat się strumieniami. W tamtych latach nawet te super restauracje, które szczyły się wysoką renomą i wygórowanymi cenami, były zawsze zapełnione po brzegi. Mimo, że na rynku nie

uświadczyłeś bez stania od świtu w tasiemcowych kolejkach wołowiny, wieprzowiny czy cielęciny - w Polonii można było zjeść nawet Chateaubriand z dorodnej polędwicy - moje danie, które wprost pożerałem w obowiązkowym towarzystwie lampki czerwonego wina. Naturalnie, mięso podawano wyłączając ustanowione z nakazu władz „bezmieśne poniedziałki”.

Codzienną przerwę na obiad robiłem sobie około godziny trzynastej, by po mniej więcej godzinie wrócić do pracy. Bardzo często w Polonii już o tej porze nie było wolnego stolika. Wtedy, chciał, nie chciał, po obejściu wszelkich restauracyjnych zakamarków, trzeba było wrócić i poczekać na holu. A tu, niecierpliwie oczekujących na wolny stół zabawiał pan Władzio - wyjątkowo elokwentny wykidajło i szatniarz w jednej osobie – podobnież, (bo wszyscy o tym szemrali) milicyjny emeryt. Chcąc by pan Władzio zachował mnie w życzliwej pamięci, często kupowałem u niego Chesterfieldy z tradycyjnym „reszty nie trzeba”. Również kelnerzy otrzymywali wtedy ode mnie sute napiwki, dzięki którym, rzadko kiedy czekałem dłużej na wolne miejsce przy stoliku. W sytuacjach podbramkowych bywało, że stojący w głębi, przy filarze, mały służbowy kelnerski stół oczyszczano z notesów, popielniczek, szkła i nakrywano dla mnie – to najlepszy dowód, że moje napiwki robiły wrażenie.

Tak było i tym razem. Przy kelnerskim stoliku właśnie zjadłem się rosół z wkładką (pływający w rosolu plaster wołowiny) i jedząc, nie miałem pojęcia, jak sobie z tym „plastrem” poradzić. Czy najpierw zjeść rosół z makaronem, a potem, pokroić mięso nożem i jeść widelcem, czy też...?

Obok mnie, już drugi raz przeszła kobieta, niecierpliwie rozglądając się za wolnym miejscem. Jej oczy wyrażały sugestię: „No, młody człowieku, mógłbyś mnie zaprosić...”

Nie śmiałem tego zaproponować. Stół był służbowy, więc i ja byłem intruzem. Zrobił to za mnie kelner, odruchowo strzepując serwetką resztki domniemanych paprochów, zapytał:

– Pozwoli Pan, że pani się przysiadzie?

– Ależ proszę, proszę...

Unosząc się z lekka, trzymając niezdarnie nóż i widelec nad głębokim talerzem z rosół, wyraziłem zgodę nad wyraz chętnie. Wiedziałem, że policzki mi płoną nie tylko od gorącego rosółu. Kobieta, powiesiła torebkę na oparciu krzesła i zaglądając mi głęboko w oczy powiedziała:

– Gorąco tu. Pozwoli Pan, że zdejmę żakiet.

– Ależ proszę, proszę...

Kiedy dama zajęta była sobą, ja czując pod nosem krople potu szybko, ukradkiem przetarłem serwetką czoło i całą swoją rumianą gębę. (Jeszcze wtedy ciągle zawstydząłem się w obecności kobiet) ona już siedząc, oparła delikatnie łokcie o stół i ponownie spojrzała na mnie, jakoś tak... Mógłbym przysiąc, że uśmiechała się... drwiąco. (Cholera z tą wołowiną! – Słyszałem jak mój nóż niezdarnie zgrzyta o talerz – może zostawić, nie kończyć tego chrzanionego plastra? Uff... gorąco). Dama jakby coś sobie przypominając, sięgnęła po swoją torebkę. Wyciągnęła z niej futerał, z którego wyjęła okulary w złotej oprawce i założyła je. Dalej grzebiąc w torebce, odnalazła szminkę i przeglądając się w lusterku, zaczęła poprawiać nią delikatnie usta. W końcu, ocierając jedną wargę o drugą, zakończyła makijaż. W tym czasie, gdy kończyłem mój rosółowy plaster, kobieta już siedziała w lekkiej białej bluzeczce, tak głęboko rozpiętej, że dekolt uwidaczniał niebieską koronkę stanika, przytrzymującego blisko siebie obie „nie za bogate” wypukłości. Czuję, że i ja chętnie pozbyłbym się, chociaż marynarki (mój trzyczęściowy garnitur z kamizelką uszyty był z ciężkiej gabardyny w kolorze tabaczkowym), ale zabrakło mi śmiałości na tak desperacki czyn. Znowu niewidocznie startem serwetką pot z czoła. Kelner „po drodze” zabrał mój talerz po rosole. Teraz czekałem na de Volaille’a.

– Mogę? – Przez chwilę trzymałem nad literatką postawioną przy kobiecie butelkę z wodą mineralną. Nim dama powiedziała proszę, bąbelki już figlowały w jej szklaneczce. Napelniłem też swoją.

– Ja Pana znam.

Mojego zdziwienia nie zmącił nawet kelner, przynosząc właśnie de Volaille’a i przyjmując zamówienie od damy.

– Poproszę... tym razem bez zupy... sztukę mięsa w jarzynach! - Narobił mi Pan apetytu tą swoją wołowiną – spojrzała na mnie, uśmiechając się - tym razem życzliwie? – I... pięćdziesiąt gram czystej. Może i pan dla towarzystwa? – Popatrzyła na mnie zachęcającym wzrokiem.

Byłem zaskoczony. I tym, że się do mnie przysiadła, i tym „Ja pana znam”, i propozycją pięćdziesiątki. Zbaraniałem.

– Tak... – wybąkałem w końcu.

Pięćdziesiątka bardzo się przydała do zneutralizowania (choć po części) maślanego tłuszczu, w nadmiarze rozptywającego się po całym moim talerzu i podtapiającego ziemniaczki po nadkrojeniu de Volaille’a.

– Smaczna, miękka wołowina... – orzekła kobieta, jedząc już któryś z kolei kęs. Przy krojeniu mięsa jeden z groszków wypadł z jej talerza i potoczył się w moją stronę. Ująłem go dwoma

palcami i włożyłem sobie do ust. Zrobiłem to odruchowo, nie wiedzieć czemu. Oboje się uśmiechnęliśmy.

– Ja Pana znam. Mieszkam w pobliżu Pana pracy. Dwie kamienice dalej. Często się mijamy, ale Pan mnie nie zauważa. Pan pracuje w tym zakładzie krawieckim na Starowiejskiej. Mam rację?

– Tak...

– Ja też jestem krawcową. Mam zakład w domu, na trzecim piętrze druga kamienica za Wami. Moje uczennice, a mam ich trzy, często o Panu paplają. Mimo woli podsłuchuję. Podoba im się pan. Długo, młody człowieku, pracujesz w tym zawodzie?

„Młody człowieku” - w chwili, kiedy to powiedziała, ja właśnie zastanawiałem się, ile lat może mieć ona – czterdzieści, więcej? – Szacowałem w myślach.

– Ja... Już jestem czeladnikiem. W krawiectwie jestem osiem lat! – Powiedziałem to chyba z lekką dumą.

– Osiem lat? – zdziwiła się. – Tak, tak, ja pana widuję od dawna. Nie wygląda Pan na swoje lata. Musiał pan wcześniej zacząć.

– Zaraz po maturze – dodałem szybko, żeby mogła obliczyć, że nie ma do czynienia z gówniarzem.

Chwilę siedzieliśmy w milczeniu, nim powiedziała:

– Mam mały problem z... mężczyzną... Z moim mężczyzną. On ma dwadzieścia siedem lat i... koniecznie chce się ze mną ożenić. Jestem starsza od niego, o... – trochę się zawahała – o, szesnaście lat. Już sama nie wiem, co mam począć. Nie umiem się od niego uwolnić. Nalega, mocno nalega na małżeństwo. Sama nie wiem... Nie mam nikogo, z kim mogłabym o tym porozmawiać, a on uparcie nalega. Jest dobry. Nie taki elegancki jak Pan, ale dobry. Pływa na rybakach i patroszy dorsze. Jest zagubionym sierotą. Nie ma na świecie nikogo. Przykleił się... Kiedyś przyszedł do mnie z materiałem, z laminatem, żebym od niego kupiła...i tak to się zaczęło. Teraz przywozi mi wszystko, o co go poproszę i nie bierze pieniędzy. Jest dobry. Ja też jestem sama. Mąż zmarł ponad osiem lat temu. Nie wiem... Tyle lat różnicy... Nie wiem... Jak pan myśli, mogę?

– No cóż... - zacząłem bezwiednie wiercić się na krześle - Chyba nie będę umiał Pani doradzić. Chociaż... moja mama też wyszła za mąż za mężczyznę młodszego od siebie o szesnaście lat.

– I co? I co? – kobieta aż uniosła się z krzesła, dopytując niecierpliwie.

– I... już są po rozwodzie, ale dzięki temu mam siostrę.

– Żyli długo ze sobą?

– Sielanka skończyła się niebawem, mama stała się bardzo zazdrosna. Zaczęli się kłócić, awanturować, w końcu mama wyrzuciła ojczyma z domu. Dobrze żyli ze sobą może z siedem lat. Potem to wszystko nie miało sensu... Mimo wszystko myślę, że on był dobrym człowiekiem, to matka... – próbowałem wrócić myślami do tamtego, mojego kiedyś domu.

– Mój, jest dobry. Nieraz myślę, że dlatego tak do mnie przyłgnął, że znalazł u mnie dom, a we mnie matkę. On swojego domu nigdy nie miał. Wychowywał się gdzieś na lubelskiej wsi. Jest straszliwie niezaradny, zakompleksiony. Sama nie wiem... Nie wiem, czy to jest miłość. Z mężem nie mieliśmy dzieci. Mąż mnie nie zaspakajał... – powiedziała ciszej, patrząc gdzieś poza mnie, jakby chciała, żebym tego nie dosłyszał. – Ten jest dobry, dobry... – powtórzyła w zamyśleniu.

Patrzyłem w jej zielone oczy, już teraz bez okularów, patrzyłem na jej zdrową cerę, ładny zarys ust, mały nosek i... na układające się figlarnie zmarszczki w kącikach oczu, gdy się uśmiechała. Zjedliśmy obiad. Nie pozwoliłem jej zapłacić za cztery kieliszki wódki, które w międzyczasie doniósł nam kelner. Wyszliśmy osobno.

Po tym obiedzie zacząłem ją zauważać częściej. Widywałem ją, jak majestatycznie przechodziła obok naszego zakładu, zawsze trzymając się prosto, modnie, elegancko ubrana. Nieraz, niosąc siatki z warzywami czy też kobiałki z owocami, zapewne wracała z targowej hali. Zdarzało się też, że szli razem. Wiedziałem, że to jest On. Z zaciekawieniem przyglądałem się mężczyźnie. Niższy od niej, ubrany w granatową, „marynarską” ortalionową kurtkę i dżinsowe spodnie, z reguły to on ją trzymał pod rękę. Wcale, naprawdę wcale nie było widać między nimi różnicy wieku. Stanowili przeciętną parę idącą ulicą Starowiejską. Nie wyróżniali się niczym.

W firmie mieliśmy dużo pracy. Byłem zaabsorbowany swoimi sprawami, swoim życiem. Nieraz oni przypominali mi o sobie, gdy przypadkiem spotykałem ich idących razem w pobliżu mojej pracowni. Nie wiedziałem, czy się pobrali, ale widywałem ich razem. Wraz z upływem lat ona stawiała się jakby coraz szczuplejsza, bo kostiumy i płaszcze zaczęły na niej „wisieć”. Jej sylwetka, do tej pory zawsze prężna i wyprostowana, teraz zaczęła się pochylać. Idąc, wyglądała tak, jakby ciągle szeptała mu coś do ucha. On trzymał ją jak zwykle pod ramię - może tylko coraz mocniej.

Mijał czas. Znowu, chyba przez rok, ich nie widziałem. Któregoś dnia, idąc na obiad, dochodziłem już do kamienicy, w której mieszkali, gdy on, przytrzymując nogą otwarte drzwi, uśmiechając się do mnie nieśmiało, zagadnął:

– Przepraszam... Czy mógłby mi pan pomóc?

W głębi korytarza zobaczyłem wózek inwalidzki i ją w nim. Chudziuteńką z przekrzywioną na bok głową. Rzadkie włosy miała nieudolnie pomalowane czarną farbą. Bolesne oczy, gdzieś z głębi, jakby tylko obmacywały mnie, ślizgały się po mnie, nie dostrzegając jednak niczego. Ze skrzywionych grymasem ust, okolonych gorzkimi zmarszczkami, ciekła stróżka śliny. Chciała coś powiedzieć, chciała mówić, ale wydawała tylko niezrozumiałe chrapliwe dźwięki.

– Pomoże mi pan? Niestety, aż na trzecie piętro...

– Naturalnie, naturalnie...

– Proszę wziąć za tył, będzie panu łatwiej.

Nie była ciężka. Może sam wózek był cięższy od niej, ale na trzecim piętrze oddychałem głębiej, z przyspieszonym biciem serca.

– Zawsze sam wnoszę ją pierwszą. Potem schodzę po wózek, ale dzisiaj dostrzegłem Pana. Nie chcę nawet na moment zostawiać jej samej... - otwierał drzwi i mówił, mówił. - Ja pana znam. Jadzia mi dużo opowiadała o panu. Wejdzie Pan? Proszę na chwilę... Napijemy się herbaty – piwa?

Nie miałem za wiele czasu. W przerwie obiadowej chciałem się posilić i wracać do pracy, ale nie potrafiłem się wykręcić. W końcu otworzył drzwi i wprowadził wózek do małego przedpokoju. Potem otworzył następne drzwi, do dosyć dużego pomieszczenia. Znaleźliśmy się zapewne w „stołowym” z meblościanką, stołem zastawionym krzesłami i bordowym, welurowym kompletem wypoczynkowym. Całe mieszkanie pachniało szpitalno-aptecznie. Na ścianach, oprócz ich ślubnego portretu (ona ładna o spokojnych dumnych oczach, on z uśmiechem szczęścia na twarzy), wisiły duże oprawione w ramki zdjęcia. Przedstawiały sytuacje z jej życia: Ona w parku, ona wśród słoneczników, ona oparta o fiata 125p. W końcu ich zdjęcie razem, gdzieś na plaży, w kostiumach kąpielowych. On w trochę za obszernych kąpielówkach - ale oboje szczęśliwi, zatrzymujący na zdjęciu uśmiech na przyszłe czasy.

– Sam je robiłem. Lubię bawić się aparatem... – powiedział nieśmiało, jakby się usprawiedliwiając i szybko dodał – Niech Pan spocznie. Przepraszam, tylko na chwilę zajmę się żoną. – Już Jadziuniu, już jestem przy Tobie... – mówił do postaci, która wydawała dźwięki bez poruszania wykrzywionymi w grymasie ustami. Wytarł te zaślinione usta wyjętą z kieszeni chusteczką, a potem pocałował ją w czubek tysawej, przyczernionej farbą głowy. Z lekkością uniósł ją z wózka i przeniósł jak dziecko do drugiego pokoju. Siedziałem na krawędzi fotela i rozglądając się po mieszkaniu bezwiednie wchłaniałem ich życie. Minęło parę minut nim wrócił.

– Już, już. Czego się Pan napije? Może piwa?

– Proszę.

Rozchorowała mi się ta moja Jadzia, przyszło to, tak niespodziewanie nagle – wylew. Była dwa miesiące w szpitalu - ale pomału wraca... wróci, będzie dobrze!

Podał mi otwartą butelkę Żywca. Sam też pił z butelki.

– Kiedyś dużo rozmawialiśmy o Panu. Nie radził jej pan, żeby za mnie wyszła.

– Ja...?

– Wiem, wiem... Pana matka też miała kogoś młodsze i... Ale my byliśmy bardzo szczęśliwi. Jesteśmy, będziemy..., bo Jadzia wyzdrowieje. Wyzdrowieje na pewno!

Z drugiego pokoju zaczęły dobiegać dziwne odgłosy, na które on natychmiast zareagował wybiegając z pokoju. Nie dopijając swojego piwa, przeprasząc go i tłumacząc się brakiem czasu, wyszedłem.

Od tego momentu minęło chyba ze dwa lata. Siedziałem w ławce, w kościele Serca Jezusowego na mszy odprawianej w intencji rzemiosła. Była to któraś z naszych rzemieślniczych rocznic.

– Przekażcie sobie znak pokoju – słowa księdza rozległy się nakazem po całym kościele.

Wierni, odnajdując nagle w sobie dobroć serca i nadzwyczajną miłość bliźniego, podawali sobie w teatralnym geście dłonie. Ktoś z tyłu, z ławki za mną, dotknął mojego ramienia. Obróciłem się i... Stali oboje. Stali! Ona stała! Jej oczy błyszczały szczęściem, a usta pomalowane delikatną pomadką (takim kolorem, jak wtedy w restauracji) uśmiechały się do mnie radośnie. Podała mi swoją delikatną dłoń.

Po skończonej mszy próbowałem nie tracić ich z oczu. Szli. On trzymał ją pod rękę jak kiedyś – może, tylko jeszcze, jeszcze mocniej. A potem, w tłumie, zginęli mi z oczu.